№ 43. Warszawa, dnia 10 (22) Października 1884 r. Tom XX.—Rok XXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

EMANCYPACYA KOBIET POLSKICH

w XVI i XVII wieku.

(*Rudolf Ottman:* Beiträge zur Culturgeschichte der polnischen Frauen im XVI u. XVII Jahr. Krakau 1884, 26 pag.).

Autor, powiedzmy tu nawiasem, skryptor Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, zaczyna swą rozprawkę od stwierdzenia tej prawdy, że ruch emancypacyi kobiet, między dążeniami teraźniejszemi tak niepoślednie zajmujący miejsce, sięga w daleko dawniejszą epokę, aniżeli przypuszczać się zwykło. Już bowiem polscy satyrycy XVI i XVII wieku traktowali emancypacyą kobiet jako kwestyą zajmującą uwagę publiczną, atoli traktowali ją jednostronnie i w ciemnych barwach. Szorstki Rey rozpoczyna ten szereg, a pełen przesądów i zjadliwy Krzysztof Opaliński zamyka go. Sądy tych pisarzów, wydawane niejednokrotnie w formie nieprzyzwoitej i sprzeciwiającej się godności kobiety, jako też obfita liczba większych i mniejszych pism dążących w kierunku wprost przeciwnym, bo ku uczczeniu kobiecości, same przez się już dowodzą, jak dalece kwestya kobieca była już w owej epoce palącą.

Kobieta w dawnej Polsce, w epoce kwitnienia humanizmu, używała stosunkowo równych praw w życiu patryarchalnem rodziny, a zarazem uczestniczyła w równej mierze w kulturze narodowej, skoro wychowanie ustalone według pewnych zasad, jednakiem było dla mężczyzny i dla kobiety. Obie strony w dalszym rozwoju swej działalności musiały się ze sobą ścierać. Kobieta, nauczona przykładem zacnej prababki, umiała w burzliwych wypadkach ówczesnych zachować swoję godność i silny charakter, taksamo, jak mężczyzna, który harcował na polu bitwy lub uganiał się namiętnie po sejmikach, zajęty całkowicie nazewnątrz, nie mógł się nagiąć do życia spokojnego, przez co straciwszy nieraz prawdziwe szczęście domowe, dawał zarazem powód do intryg domowych i swarów prawniczych.

Ukształcenie literackie kobiet Epoki Zygmuntowskiej było nader zaniedbanem; miało ono na celu przysposobić dziewczęta, albo do stanu małżeńskiego, albo do życia klasztornego. Od XIII do XV wieku rzadko która białogłowa umiejętnością czytania pochwalić się mogła, tak, że św. Kunegunda, która umiała nawet połacinie, uchodziła za nadzwyczajne zjawisko. Syn i córka czerpali zarówno z tychsamych ksiąg elementarnych swoje pierwotne ukształcenie, a gdy dziewczęta pokończyły szkoły klasztorne, posyłano je zwykle do takzwanych „fraucymerów“, ażeby tu nabrały *większego poloru*. Wychowanie zaś synów polegało od pierwszych lat młodzieńczych na przyswojeniu sobie obyczajów dworskich. Każdy ojciec—powiada mniejwięcej Górnicki—który nie chciał, ażeby syn jego w próżniactwie zagrzęznął, umieszczał go u magnatów, gdzie się miał nauczyć tych manier dworskich, któremi pan starosta Wasilkowski i Tykociński obdarza swego *Dworzanina*. Pisarze też z pierwszej połowy XVI-go wieku nie bardzo gardłowali za wyższem ukształceniem kobiet, gdy znowu inni, jak np. słynny swego czasu dydaktyk Andrzej Glaber z Kobylina, w swoich: *Problemata Aristotelis*, pisanych popolsku, w pierwszem wydaniu, z 1535 r., bardzo dziś rzadkich, w przedmowie wyjaśnia, że zazdrość mężczyzn i niechęć samych kobiet główną były przyczyną ówczesnego lichego wychowania. Więcej dla sprawy kobiet uczynili: Rey w *Żywocie uczciwego człowieka* i Górnicki w arcydziele swojem: *Dworzaninie*. Obadwaj, a zwłaszcza bystro myślący Górnicki, są ze sobą w zgodzie co do możliwości przeprowadzenia emancypacyi kobiecej. Podają oni ku temu realistyczne wzory: Rey w charakterystyce towarzyskiej gospodyni wiejskiej; Górnicki w charakterystyce zacnej szlachcianki. Obydwaj dowiedli, że można żyć dobrze a odpowiednio do boskich i ludzkich przykazań, nie zapożyczając się u obcych; objektywne wszakże ich dowody, zajmujące się kobietą już jako osobistością wyrobioną i do małżeństwa przygotowaną, ale nie mówiące nic o tem *jak ją właściwie wyrobić należy*, nie przyczyniły się w niczem do uobyczajenia ówczesnego świata kobiecego; a gdy pedagogowie nie śpieszyli się i później w tym przedmiocie, przeto kobieta zawdzięczać musiała to, czem być chciała ponad ogólnym poziomem, własnemu instynktowi i uzdolnieniu.

Do życia biernego nie mogła się dać nakłonić. W aktach sądowych archiwum krakowskiego z XV wieku znajdujemy spis kobiet, które zawiadywały osobiście jako biegłe w prawie szerokiemi dobrami, stawały przed kratkami i przemawiały, zastępując całkowicie we wszelkich sporach swych mężów: i właśnie-to z tych aktów można nabyć przeświadczenia, z jakiemi przesądami musiały walczyć kobiety, aby sobie prawa swoje zdobywać. W ciągłych klęskach, kraj cały ogarniających, musieli, naturalnie, obywatele głębiej zastanawiać się nad przyczynami tych klęsk, ażeby znaleźć temsamem i środki zaradcze. Mężczyźnie zdawało się, że przyczyn szukać trzeba w zbytku, w strojach, chwiejności i niestałości kobiet; kobiety, przeciwnie, szukały ich w próżniactwie, pieniactwie i rozpuście mężczyzn. Że zaś kobiety w wyrażaniu swych myśli przeciw zarzutom mężczyzn umiały się bronić trafnie i rozumnie—poznać to można z satyr typów kobiecych, chociaż nabrałoby się smutnego wyobrażenia o uobyczajeniu kobiet, gdyby się wierzyło wszystkiemu, co napisali w tej mierze satyrycy. Znać, oczywiście, że poeta brał odrazu, z góry, stronę mężczyzny, tak dalece obrazom satyrycznym

brak prawdy. Na szczęście, pisarze ci stają często sami ze sobą w sprzeczności, nieumiejąc dowieśdź tego logicznie, co opisać chcieli, albo przesadzając w nakładaniu farb jaskrawych.

W swych rymowanych utworach wyśmiali oni kobietę, jako biorącą udział w sejmach i skarżącą się na swe położenie, oraz wyrokującą o sprawach publicznych. Wyszydzili jej usiłowania cywilizacyjne i rozum dyplomatyczny, jakgdyby kobieta pragnęła istotnie zupełnego przewrotu życia rodzinnego i publicznego.

Jan Oleski pisze mało znaną satyrę „*Seym panieński*, albo rozmowa o biesiadach"; Bielski *Seym niewieści*, (obaj w drugiej połowie XVI w.), a poeta Anonim *Rady niewieście* z pierwszej połowy XVII w. Pisarze ci, z różnych epok, wybrali jeden temat. Punkt ciężkości satyry Oleskiego leży w wierszach, które poeta przytacza w przedmowie: że jakkolwiek panny odbyły tajne posiedzenie, to jednak jedna z nich przebieg narad i uchwały opowiedziała swemu ulubieńcowi pod pieczęcią tajemnicy, ten zaś powtórzył wszystko autorowi satyry i w ten sposób tajemnica wbrew ich spodziewaniu zdradzoną została. Dwadzieścia panien obraduje nad ściśle osobistemi interessami. Rozprawy ich w monotonnej formie obracają się około spraw sercowych, podczas gdy wymiana ich myśli nie przedstawia dostatecznego przedmiotu dla satyryka. Świat męzki silne tu znieść musi ataki; sejmujące objawiają swe życzenia co do fizycznych i moralnych przymiotów przyszłych swych mężów. Pierwsza z tych panien, wcale niemająca usposobienia melancholijnego, pragnie przygód karnawałowych i żali się na nadchodzącą Środę Popielcową: tańce już minęły, a teraz trzeba żyć samotnie. Druga przyłącza się do jej żalów i uważa, że młodzież przybyć nie myśli do nich z muzyką: żąda więc od zgromadzonych, ażeby gagatków z serca swego wyrugowały. Propozycya ta nie podoba się trzeciej, która radaby, ażeby nigdy złośliwie nie krytykowano młodzieży, i gdy jedna znów oświadcza, że w dworskich tylko manierach sprawny młodzieniec jest jej miłym, inna szydzi z takiego, który w mowie pochlebia dziewicom, a rozumnego słowa powiedzieć nie umie. Wtem zabiera głos spokojna i poważna i proponuje, iżby się wszystkie zrzekły stanu małżeńskiego, pozostając w wieczystem dziewictwie; ale ją zakrzyczano chórem, oświadczając przytem, że daleko więcej swobody znajduje się w stanie małżeńskim, boć tam nikt prócz męża rozkazywać nie śmie.

Inna znowu pragnie starego, inna młodego, trzecia obiera *mediam viam* i tęskni za doświadczonym, byle nie zbyt starym. Później przychodzą pod rozprawy moralne przymioty przyszłego męża. Piętnasta zkolei rozstrzyga tem, że powinny sobie wybierać małżonków z własnej woli. Szesnasta zaraz wybiera sobie głupca. Siedmnasta sprzeciwia się temu, mówiąc, że nie chce, aby dom jej podobnym był do kurnika, w którym przy gdakaniu kury kogut milczeć musi, jej zaś ukochany musi się okazać prawdziwym mężem i głową rodziny.

Rezultatem obrad było to, iż należy powzięte uchwały zachować w największem milczeniu wobec męzkiej przebiegłości, poczem zgromadzone, nie przyszedłszy do porozumienia, opuszczają salę.

Tym ideom odpowiada Bielskiego *Seym niewieści*. Bielski jest delikatnie czującym i dobranych wyrażeń używającym satyrykiem. Zbiera on kobiety na wspólną naradę, ażeby obmyśliły co na zły stan rządu i polityki. Rozmaitość zebranych kobiet reprezentuje doskonale poziom ówczesnej massy szlacheckiej. Śmiałem słowem rozbierają one kwestye publiczne, rozwijając w naiwnej swej wielomówności obraz ówczesnego ruchu i życia. Szlachcianki te postanowiły sobie swobodę w życiu prywatnem i publicznem swych mężów ukrócić i przeobrazić, a przytem wywalczyć dla siebie pewne prawa i przywileje służące dotąd wyłącznie mężczyznom. Ukazują one w swych spostrzeżeniach przepyszny humor i żywość w opowiadaniu, nieodskakującem bynajmniej od prawdopodobieństwa.

Życzą sobie odmiany dotychczasowego sposobu życia i połączonych z tem obowiązków powołania. Chcą mężów zastąpić na placu boju i w służbie rządowej, chcą przeobrażenia fizycznych i moralnych stosunków życiowych. W tem tkwi rdzeń satyry na kobiety i ich idee emancypacyjne.

Sądy ich nie są jednostronne; atoli, gdy chodzi o wykonanie praw żądanych, brak logiki ich politycznym myślom i charakterystyki spółczesnych tendencyi.

Przyznać trzeba, że każdej z tych satyr, jakkolwiek zakrawają na pamflet, służy za podstawę jakiś moment z rzeczywistej ludzkiej natury. Co się tyczy śladu rzeczywistych emancypacyjnych zachcianek ówczesnych kobiet, które w zakresie swej działalności występowały częściej przeciw mężczyznie, ażeby sobie zapewnić lepszy byt, znaleźć go można w historyi obyczajów i literaturze. Rękopiśmienne ślady tej zamierzchłej epoki w kwestyi emancypacyi kobiet znajdujemy w rękopiśmie Krakowskiej Biblioteki Uniwersyteckiej (N. 106), z drugiej połowy XVI w. i w początku XVII w., a z czasów Zygmunta III i Władysława IV. W tych tak zwanych *Miscellaneach* są artykuły o kobietach, które przez umyślnie do zredagowania tychże wybrane kobiety podane być miały na sejm za Władysława IV, jako przedmiot domagający się naglącej dyskussyi. Te „panieńskie artykuły", przez które ówczesne kobiety chciały poprawy swych praw rodzinnych, są podpisane przez delegatki z Małopolski i Litwy, brzmią zaś następnie:

(Dokończenie nastąpi)

SPRZECZKA MAŁŻEŃSKA.

W pięknym, miłym saloniku
Na kominku ogień płonie.
Siedzą sobie tuż w kąciku,
Mąż przy żonie.

Ona hoża, żywa, młoda—
Znać, że w sercu krew nie woda;
On tak sobie—ot! poczciwy,
Trochę łysy, trochę siwy.

Ona widać o czemś marzy,
Pochyliła czoło białe;
Myśli mienią się w jej twarzy,
Jak motylki rozbujałe.

Darmo wiedzieć kto spragniony,
Co w tych myślach się układa....
Bo któż myśli młodej żony
Przy łysinie męża zbada?

I on również czule wzdycha,
W dym cygara patrzy zcicha,
Miłe dumki o tem przędzie,
Co na obiad jutro będzie.

„Wiesz, mężusiu, mój ty złoty,
„Że mnie wielka chętka bierze,
„Być na balu tej Soboty—
„Co? będziemy? powiedz szczerze."

—„Ależ, duszko! bój się Boga!
„Na bal jechać, gdy zła droga—
„Błoto, ślisko—miła sprawa!
„I kark skręcić—to zabawa!?"

—„Ależ suknia już gotowa!"
—„To ją schowasz do komody."
—„Ah! to potem wyjdzie z mody!"
—„To dasz szlarkę—będzie nowa!"

—„Co? co? szlarkę! ah! mój Boże!
„Żadna szlarka nie pomoże—
„My na balu być musimy!"
—„Obaczymy—obaczymy."

—„Tak! pewno po karnawale!
„A wszakże w ostatni Wtorek,
„Nie zapomnij o tem wcale,
„I u nas ma być wieczorek...."

—„Hum.... wieczorek... Otóż macie!
„Nieład, hałas, bieganina!
„Gościom ciasta, gościom wina!
„A o męża to nie dbacie."

„Nudziarz jesteś!
„—Nie nowina:
„Słyszę o tem co godzina."
—„My wieczorek dać musimy!"
—„Obaczymy. .. obaczymy."

—„Ależ goście już sproszeni!"
—„To odprosić ich się godzi."
—„A Popielec!"
—„Nic nie szkodzi:
„Poczekamy do jesieni."

—„Z tym nudziarzem nie wytrzymam
„Ah! już sił do życia nie mam,
„Bo ten człowiek nic nie czuje,
„Każdą chwilkę mi zatruje!"

I z kanapki już się zrywa,
Staje przed nim z gniewu drżąca,
Jakby inna.... On poziewa
I z cygara popiół strąca.

—„Nie, tak dalej żyć nie mogę,
„My musimy rozwód dostać!"

—„Aj!.. nadepczesz mi na nogę...
„Trzeba było panną zostać!
„I mnie też się lepiej działo,
„W kawalerskich lat mych kwiecie....
„I łysinki się nie miało—
„Człowiek spokój miał na świecie.
„Dziś, gdy zdrzemnę, wnet wizyta,
„W poobiedniej zawsze porze;
„Żona nigdy ani pyta,
„Że mąż słabym też być może;
„A gdym zdrów, mówi, żem chory,
„Sporządza jakieś likwory,
„Pcha mi kleik, watę w uszy....
„Ot! na skwarek mnie wysuszy."

Westchnął ciężko—wstał, znów siada;
Sapie, ziewa... Ona, blada,
W coraz szybszym biega pędzie
Wzdłuż salonu... co to będzie?...

Wtem.... ze śmiechem i hałasem
Małe, śliczne chłopię wbieży;
Chce przeskoczyć próg, tymczasem
Pośliznął się.... i już leży.

Podbiegł tatuś, mama chwyta;
Jedno trzeźwi, drugie cuci,
Jedno pieści, drugie pyta...
Już się teraz nikt nie kłóci!

Tatuś bierze na kolana;
Mama, cała zadyszana
Klęka: widać zapomniała,
Że się jutro rozwieść miała.

A chłopczyna już figluje,
Już się pieści i przymila,
Główkę mamy obejmuje,
I do taty ją przychyla.

Nie wiem, jak tam dalej było....
Może na bal pojechali,

Może bal u siebie dali,
Może im się o tem śniło....

Nie wiem, jak tam dalej było.

Kalina.

KSZTAŁCENIE UCZUĆIA W WYCHOWANIU.

Wszystko, co doskonali człowieka, co zdolności jego rozwija, powinno wchodzić w zakres wychowania. Kształcenie umysłu nie polega jedynie na pewnym zasobie wprowadzonych weń wiadomości, na wiedzy naukowej, którą wychowanie stara się dać dziecku; rozwija się tu zarazem zdolność rozumowania i sądu, rozbudza spostrzegawczość, wyrabia nawyknienie uwagi — uczy się myśleć. Ale intelligencya nie jest to jeszcze w człowieku wszystko: obok głowy ma on serce, zatem, aby wychowanie było całkowitem, potrzeba, aby kształciło także uczucie, aby uczyło czuć. Uczucie ma swoje dwa bieguny: miłość dobra i nienawiść złego; Wiktor Hugo w bardzo pięknej, szlachetnej poezyi nazwał to dwiema tarczami, które człowiek posiadać powinien, stając do walki życia: i tak jest niewątpliwie. Więc też dobre wykształcenie tej, mieszczącej się w piersi człowieka, siły, którą nazywamy uczuciem, ma swoję wagę ogromną; czy jednak wyznacza się na to w wychowaniu miejsce takie, jakie zajmuje w niem kształcenie umysłu; czy istnieje tu jakiś plan określony, jakaś metoda? Pośrednio uczy się dziecko czuć przez miłość, którą otacza je rodzina, bo wywołuje to w sercu jego wzajemność, uczuciowość się wyrabia, zdolność uczucia się rozwija; że zaś etyka wychowawcza wykazuje mu, co jest miłości godnem, a co od serca jego odtrącanem być powinno, tworzy to poniekąd edukacyą uczucia—edukacyą jednak ułamkową i niepełną. Pełną i całkowitą byłaby ona wtedy dopiero, gdyby człowiek w tej chwili dojścia do pełnoletności myśli, gdy przez rozum uzna, co jest miłości jego godnem, znalazł już miłości tej ziarno w serce swe wsiane i kiełkujące — gdyby wszystkie ukochania dobre już w sercu poniekąd miał przez wychowanie rozbudzone. Uznawać cóś za tak piękne i dobre, że wskutek tych przymiotów swoich na miłość naszę zasługuje, nie znaczy to jeszcze kochać: więc też człowiek, którego uczucia nie kształcono, nie rozwijano w kierunku ukochań, będących w wyższym stopniu życia jego obowiązkiem, może pozostać wobec rzeczy najświętszych chłodnym—chłodnym tak, że, czcząc je, jednak się dla nich nie poświęca, w gorących uniesieniach zapału ofiary z siebie na ich korzyść nie czyni, stać przy nich nie będzie do ostatnich granic męztwa i wytrwałości ludzkiej.

Pospolitszy ogół ważności edukacyi uczucia dostatecznie nie rozumie, bo jej skutku nie widzi w tak doraźnych, natychmiast okazujących się korzyściach, jak przy kształceniu umysłu, gdy, naprzykład, dziecko po roku nauki zacznie się odzywać pofrancuzku, gdy wymieni z pamięci wszystkie kraje Europy i powie, kiedy Rzym został założony przez Romulusa. Tu nabytki kształcenia umysłu, przedstawiające się przez pozyskane wiadomości, wykazują się wyraźnie, i postęp jest niejako dotykalnym, gdy edukacya uczucia tworzy grunt dla przyszłości. Że przecież często, bardzo często i wychowca myśliciel pozostawia na stronie kształcenie uczucia, że pojmując najzupełniej rolę, którą ta wielka siła odgrywa w życiu ludzkiem, tak jednak prawidłowo nie uczy dziecko czuć, jak uczy je myśleć, że rozwój uczuć i ich skierowanie nie jest dla niego przedmiotem takiejsamej troskliwości, jak rozwój i kierunek władz umysłowych,—jest to spadek, przez przeszłość nam zostawiony. *Emil* Jana Jakóba Rousseau był w tej przeszłości, jeszcze niedalekiej, główną podstawą systematu edukacyjnego. Spierano się z nim w wielu rzeczach, wytykano jego błędy, ale niemniej głębokie spostrzeżenia, genialne błyski myśli tam zawarte, wywierały swój wpływ i przez kilka pokoleń Europa żywiła się zasobem tam złożonym, nie mogąc się zdobyć na nic nowego, coby się równać mogło z tem dziełem pomnikowej wartości; lecz właśnie-to Rousseau jakoby odepchnął uczucie od korzyści właściwej edukacyi. Wiek ośmnasty ubóstwił naturę, a on więcej niż ktokolwiek inny widział w cywilizacyi przyczynę zła, które trapiło ludzkość i człowiek na łonie przyrody przedstawiał mu czysty ideał szczęścia i moralnego stanu, niezatrutego przez przewrotność, ze społecznego układu wynikłą. Walczono z przesądami, walono stare ich zasieki, i aby je skruszyć, chciano cofnąć człowieka do stanu pierwotnego, kazano mu odnajdywać instynkta swe wrodzone i rządzić się niemi. *Emil* miał przedstawiać pod względem uczuć i popędów wewnętrznych takiego wychowańca natury: naprzykład o Bogu nie mówiono mu nic, aby dziecko odkryło Go sobie samo i oddawało mu cześć naturalną, a dopiero za nadejściem rozumu człowiek z niego wyrosły wybrał sobie wyznanie, odpowiadające najlepiej nastrojowi tego wrodzonego uczucia religijnego. Rozwijanie się uczuć swobodne, naturalne, aż do decyzyi dojrzałej już władzy rozumu: oto edukacyjna zasada Rousseau'a. Nauki przecież nie mogło dziecko dochodzić siłą własną, być sobie Newtonem i Kartezyszem, więc też w tym kierunku musiał już istnieć nadany mu plan, metoda, czyli edukacya właściwa, nieogarniająca jednak uczucia, zostawionego na stronie i pozbawionego kształcenia, ujętego w prawidła, obmyślanego poważnie z celem wytkniętym jasno, a choć *Emil* i jego czasy przeszły, rzecz się utrzymała, już przez ten prosty fakt, że się utarła, że weszła w nałóg edukacyjny, trwający mniej więcej aż do obecnej chwili czasu, która spostrzegła błąd i połowiczność: całą jednę stronę edukacyi zostawioną dowolności.

Stulecie nasze naodwrót tego, co było w wieku XVIII, jest dumnem, aż może nadmiernie, ze swych nabytków cywilizacyjnych, uważa je za drogocenny dorobek ludzkości i dlatego sądzi, że należy dziecku ułatwić drogę jego pod górę życia, dając mu przez wychowanie kierunek wytknięty ku tym ideałom dobra i prawdy, które ludzkość stawia sobie najwyżej, a co może jest właśnie rzeczą naturalniejszą, niż ów sztuczny naturalizm Filozofa Genewskiego. Jak matka przez wrodzone, niemal instynktowne, uczucie miłości macierzyńskiej ułatwia dziecku pierwsze dźwignięcie się na słabiuchne nóżki; jak przez troskliwe wyciągnięcie ramion broni je wtedy od bolesnego padania na ziemię,—tak pod siłą tego samego wrodzonego przywiązania pragnie prostować przyszłe drogi jego życia przez takie wyrobienie w niem uczuć, któreby potem przed złem go bronić, a do dobrego spokojnie i łatwo prowadzić mogło. To też zapewne podczas największego nawet panowania edukacyjnego systematu Rousseau'a, każda pobożna matka składała do pacierza rączki małe, kształcąc przez to religijne uczucie dziecka, i to wszystko, co jej samej drogiem i świętem było, pragnęła również drogiem i świętem czynić dziecku już od kolebki, siejąc zarody miłości w grunt młodego serca, aby znalazły się tam one już ukochaniem żywem i gorącem, już uczuciem rozwiniętem, gdy rozum przyjdzie je potwierdzić przez sankcyą swoję.

Obecnie poczyna już taksamo czynić i szkoła publiczna. Najpierw w Niemczech, a następnie we Francyi kształcenie uczucia weszło w programmat szkoły elementarnej, z całą dla siebie wytworzoną metodą, z planem swoim, z przedmiotami nauczania, które zostały do harmonii z tym celem doprowadzone, które zostały temu celowi wprost i wyłącznie poświęcone. Szkoła Niemiecka, zwłaszcza Pruska, wprowadziła w ten sposób kształcenie obywatelskiego uczucia w programmat nauczania początkowego, a Francya poszła wkrótce za jej przykładem. Jerzy Dumesnil, członek Paryzkiego Uniwersytetu został wysłany do Niemiec w 1882 i 1883 r., z missyą zbadania pod tym względem elementarnych szkół niemieckich: i oto szkoła francuzka przyswaja sobie metodę tę nową, uczy dzieci francuzkie miłości Francyi, kształci w nich systematycznie uczucie obywatelskie i jeden z najrozumniejszych pedagogów francuzkich, wysoki dygnitarz w ministeryum oświecenia publicznego Karol Bigot, pisze i drukiem ogłasza jakgdyby wskazówki, według których nauczyciel postępować tu powinien.—„Nie kochamy tego, co nam znanem nie jest—pisze on na wstępie —Każde dziecko kocha dom rodzicielski, ogród, pole, które go otacza, kocha wioskę swoję z wieżą jej kościelnej dzwonnicy"; aby przecież uczucie zostać mogło rozszerzonem do całej Ziemi Francuzkiej, nakazuje uczyć dziecko najpierw geografii jego kraju. Mapa Francyi powinna przedstawiać się nieustannie jego oczom, które powinny umieć w niej czytać—znać ją i rozumieć. Należy przytem nauczyć dziecko: jakie na tym obszarze jego ziemi rodzinnej są miasta stare i sławne, jakie są ziemi tej granice, i płody, które wydaje, przyczem mapa poglądowa najlepiej odpowie celowi ułatwiając naukę. Ale na ziemi mieszkają ludzie: i dziecko musi się zaraz tego dowiedzieć, że kraj francuzki, dziś zabudowany i ludny, przerznięty spławnemi rzekami, przedstawiający oku łany pól uprawnych i pastwisk bujnych, ogrody i winnice, był niegdyś dzikim, głównie lesistym, obszarem. Lud, który tu przed wiekami zamieszkał, musiał owe puszcze drzewne trzebić, nowiny twardego gruntu drzeć sochą pracowitą: musiał uprzątać jedno, a wznosić drugie, budować domy i kościoły, twierdze, które broniły miedzy jego od napadu obcych.—aż krwią i potem swoim użyźnił zagony wydartego dzikości gruntu, i wsiewając w ten grunt pokolenie za pokoleniem, kości swoje, uczynił zeń Francyą dzisiejszą. Dziecko, które się dziś w tej Francyi rodzi, bierze zatem spadek tych wszystkich prac przeszłości, od niej dostaje bogactwa swoje i oddać je pomnożone przez swój dział trudu, pokoleniu, które po niem nastąpi, jest jego obowiązkiem—obowiązkiem sprawiedliwości, uczciwości prostej.

Taka nauka, przystępnie wyłożonej geografii, zrodzi w umyśle dziecka pierwsze społecznych obowiązków wyobrażenie, najpowszedniejszą nawet pracę uszlachetni mu i podniesie, ale zarazem zbudzi mu w sercu uczucie łączności z przeszłością i przyszłością Francyi, z jej współmieszkańcami, i wprowadzi w umysł przybliżone choć pojęcie tej istoty zbiorowej, zwanej narodem, która, wciąż się odnawiając przez śmierć i narodziny, ma swoje odwieczne trwanie i przechowuje w niem odwiecznie z ojca na dzieci przechodzący jeden gieniusz rodzimy, jeden interes wspólny, ożywiając jednem życiem ducha miliony istot ludzkich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIERWSZA NOWELLA

PRZEZ

J. Zacharyasiewicza.

(Dokończenie).

Szczęściem, że wtedy nie było jeszcze kwestyi politycznych, ani stronnictw.

W takim stanie rzeczy nie groziła mi żadna zmienność polityczna. Chorągwi mojej nie mogłem opuścić za żadną cenę; mogłem, co najwięcej, przerzucić się od jednego serca do drugiego, zamiast Leonili mogłem zamarzyć o Małgorzacie.

Pokusie tej oparłem się jednak stanowczo. W mojej pierwszej, niedawno napisanej, nowelli, która na Leonili takie wrażenie sprawiła, był bohater w podobnej sytuacyi. I jemu stanęła w drodze podobna do Małgosi rusałka o bladem licu, ale on nie zachwiał się. Miałżeby autor być gorszym od swego bohatera?

Ślubowałem w duchu wierność Leonili aż do grobu.

Przy takim nastroju rozmowa była sztywna, urywała się co chwila. Przeszkadzał niemniej brzęk talerzy i łyżek. Wreszcie powstał szpa-

kowaty jegomość i oznajmił córce, że musi jeszcze wyjść na miasto.

— Czy i ja pójdę z ojcem?—zapytała z pewnem nieokreślonem wejrzeniem na mnie.

— Możesz zostać — odpowiedział ojciec — ja zaraz wrócę.

— Jakże... sama?—replikowała nieśmiała Małgosia.

Jegomość rozśmiał się głośno aż szklanki zabrzęczały.

— Jak widzę — zawołał — tobie trzeba tego, co Neptunowi. Póty się nie położy spokojnie, póki nie zostawią mu chustki lub rękawiczki. Otóż i tobie coś muszę zostawić.

Rzekłszy to, położył na stole — między mną a Małgosią—stary parasol. Chciał już odejść, ale namyślił się i do parasola dodał jeszcze gruby, sękaty kij.

— Pilnuj teraz tego — rzekł z pewnym zagadkowym uśmiechem, widocznie do mnie wymierzonym.

Zwróciłem się po jego odejściu do Małgosi.

— Pani jesteś teraz na straży, jak widzę — pamiątek rodzinnych. Parasol i laska noszą ślady lat sędziwych. Do takich rzeczy człowiek się przywiązuje..

— Inaczej zupełnie jest dzisiaj — przerwała szybko — gdy ludzie co chwila swoje upodobania zmieniają...

I z pewną rozkoszą spojrzała na kij sękaty, ojcowską dłonią gładko wypolerowany. Patrzałem i ja na ten wiśniowy sens moralny, ale z pewnem mniej przyjemnem uczuciem.

— Sądzisz pani—rzekłem po chwili—że nasze upodobania powinny opierać się o grunt trwały... i jak ta sędziwa podpora wiśniowa nie uginać się wtedy, gdy jaka niespodziewana przepaść...

— Naturalnie! Wybierać można długo, ale raz wybrawszy...

— Pani mówisz z jakąś myślą uboczną...

— Uchowaj Boże, wypowiadam tylko luźne zdania. Mówiliśmy o parasolu i o tym kiju. Parasol i kij należą do starych rzeczy. Pan, naprzykład... chcąc mieć coś modnego—wyrzuciłbyś jedno i drugie, a natomiast...

— Dlaczego pani o mnie tak sądzi?...

— Bo to byłoby rzeczą naturalną. Mój ojciec inaczej zapatruje się. Parasol i ta laska służyły mu tak długo—z niemi przebył różne koleje życia, nie uważa więc ich za narzędzia, ale ma dla nich pewną przyjaźń, jak dla ludzi, którzy nam dobrze służyli!

— Prawda—odpowiedziałem z namaszczeniem, ludzie czasem gorsi od tych martwych rzeczy!

I z pewnym pietyzmem dotknąłem się sękatego kija, któremu, jako wypróbowanemu przyjacielowi, powierzył był szpakowaty jegomość swoję jedynaczkę.

— Najgorsi są ludzie wtedy — mówiła dalej blada Małgosia — gdy używają drugich za narzędzia.

— Nikczemność! — krzyknąłem.

— I potem te narzędzia, jak kawałki bezdusznego drzewa od siebie odrzucają, gdy swego celu dopięli...

Machnąłem z pogardą ręką i nie zważałem wcale, że moja sąsiadka patrzała w tej chwili na mnie z wielką uwagą.

Obiad się skończył, ale zacny konduktor wyszedł był za swemi interessami i jeszcze nie wrócił.

Długo patrzała na mnie blada dziewica. Czułem ciepło tego spojrzenia. Błoga rozkosz ogarnęła moje serce.

— Czytała zapewnie ostatni mój artykuł o „sercu kobiecem“ — pomyślałem sobie. — Mówią, że życie autorów cierniami wysłane... a czyż może być większe marzenie nad to, że wszystkie oczy zwracają się za nami... że wszystkie serca biją dla nas?...

Słyszałem wyraźnie, jak w tej chwili pod szkocką tkaniną biło serce mojej sąsiadki... Z dumą podgarnąłem włosy do góry.

— Jeżeli się nie mylę — zacząłem po chwili — jesteś pani pessymistką. Czy mogę zapytać: co może być powodem takiego pessymizmu?

— Widok szczęśliwych — odszepnęła zcicha i westchnęła.

— Więc widok cudzego szczęścia napawa panią goryczą?...

— Już taka natura serca: zazdrościmy drugim. Mam, naprzykład, przyjaciółkę...

— I tej przyjaciółce zazdrościsz pani.

— Znasz ją pan dobrze... Leonila.

— Pannie Leonili zazdrościsz pani?— zawołałem z przepełnionem sercem — i czegóż jej pani zazdrościsz? — dodałem z udanym spokojem.

Panna Małgorzata miała teraz także spokój na twarzy. Wzięła próbkę jakiejś materyi do ręki i zaczęła się jej z uwagą przypatrywać.

— Pytasz pan — rzekła po chwili — czego Leonili zazdroszczę... zazdroszczę jej poprostu... dzisiejszej zabawy. Ciocia pozwala jej bawić się, kiedy chce!

— Państwo będziecie także na tej zabawie...

— Tak jest... ale co innego być tylko gościem... tylko spektatorem. — Niedopowiedziała, a szafirowe jej oczy zamgliły się smutkiem.

— Biedna — pomyślałem sobie—ona wie o mojem szczęściu... ona takiego szczęścia zazdrości Leonili!

Żałowałem w tej chwili, że nie jestem w dwóch osobach, jak owi bracia syamscy. Byłbym niezawodnie rozciął siebie na dwie połowy.

— Nazywasz się pani przyjaciółką Leonili — rzekłem w nadmiarze szczęścia — zapewne się zwierzyła...

— Wiem wszystko! Czytała mi wiele ustępów z listów pana.

Poczułem rumieniec autorski na twarzy.

— Spodziewam się, że ustępy te były wybrane z pewną dyskrecyą...

Małgosia rozśmiała się z ironią.

— W takich razach — odrzekła szybko — nie licz pan nigdy na dyskrecyą. Nie ma granic dyskrecya, tam, gdzie się zaczyna szczęście kobiety.

Podniosłem głowę do góry; Leonila przyznawała się do swego szczęścia.

— Nie wiem dlaczego — ozwałem się — ale z przyjaciółką panny Leonili muszę rozmawiać otwarcie...

— Żałuję, że równą otwartością odwdzięczyć się nie mogę...

— Dlaczego?

— Nie lubię drugim wypowiadać tego, co im pochlebiać lub... co ich zranić może...

— Nie lękaj się pani — odpowiedziałem z powagą — wielką sztuką jest umieć znieść nieszczęście, ale jeszcze większą—umieć być szczęśliwym!

W tej chwili nadszedł ojciec, a za nim konduktor. Zaczęliśmy zbierać się do odjazdu. Pożegnałem ojca, Małgosi podałem rękę. Panna Małgorzata ścisnęła ją serdecznie i spojrzała na mnie z pewnem spojrzeniem, jakiego nigdy nie zapomnę.

I cóż to było za spojrzenie?

Gdyby spojrzenia miały jasno określone wyrazy, gdyby je, jak mowę, utrwalić można i dłużej się im przypatrywać — byłyby nieraz dla nas niemałą nauką, albo zadatkiem prawdziwego szczęścia. Są wprawdzie szczęśliwi, którzy umieją takie spojrzenie pochwycić i na zawsze je w pamięci i w sercu zatrzymać — ale ileż ginie ich marnie nieodczytanych i niezrozumianych, jak giną promienie słoneczne, gdy w podniebnych drogach natrafią na mgły nieprzebite!...

Po niejakim czasie wytłómaczyłem sobie spojrzenie panny Małgorzaty. Było to jedno z tych spojrzeń, które spotyka szczęśliwy człowiek w biegu do swego szczęścia. Jest w niem pewna ciekawość ujrzenia szczęśliwego, jest pewna rozkosz, że przecież szczęście istnieje na świecie; ale jest także pewna gorycz zmieszana ze smutkiem, że takiego szczęścia samemu się nie doświadcza...

Przedemną pojawiła się w tej chwila ostatnia stacya pocztowa.

Na tej stacyi czekała już owa żółta dorożka. Poznałem ją zdaleka po nieco zbakierowanej budzie i związanym postronkiem resorze. Był to właśnie dzień targowy. Przed cukiernią, która zarazem była restauracyą, stało grono młodych i starszych kawalerów okolicy. Patrzeli z ciekawością na żółtą dorożkę, a jeszcze ciekawiej na wysiadających z karetki pocztowej podróżnych. Oglądali troskliwie jednego po drugim.

Wysiadłszy z karetki, spostrzegłem, że wszystkich oczy zwróciły się na mnie. Jakiś uśmiech zagadkowy przebiegł po twarzach. Wszyscy potem zwrócili się ku jednemu ze swoich towarzyszy, który w żółto kratkowanym garniturze stał wpośrodku.

Był to pan Jacek. Spojrzenia towarzyszy coś go zaniepokoiły. Zaczął się ruszać nalewo i naprawo, jak serce dzwonu, zanim w spiż uderzy. Głosu pana Jacka nie słyszałem wcale, ale widziałem wyraźnie, jak z energią coraz bardziej rosnącą odzywał się do swoich towarzyszy. Potem widziałem, jak czerwoną ręką zrobił w powietrzu kilka cięć podobnych do cięcia szabli i szparko wszedł do cukierni. Przez szklane drzwi dostrzegłem wyraźnie, jak wychylił spory kielich jakiegoś brunatnego płynu.

Na dalsze obserwacye nie było czasu. Miałem dwie mile przed sobą. Podówczas nie było jeszcze dróg powiatowych z dziurawemi mostami, tylko były drogi bez mostów. Wiele poezyi i urozmaicenia miała każda podróż. Często trzeba było wysiadać, przebywać w bród kręte strumyki, albo w popielatym ile wyciskać swój konterfekt, jak się to czasem praktykuje przy sławnych nieboszczykach.

Tak romantyczną drogę przebyłem szszczęśliwie. W niebezpiecznych miejscach pomagałem sobie marzeniem o Leonili. Już naprzód gotowałem się do nagrody, jaką od niej otrzymam za wszystkie moje niewygody. Myślałem o niej przy każdej większej kałuży, przy każdej rozerwanej grobli, a gdy na widok chwiejącego się mostku oczy zamykałem, widziałem ją przed sobą, jak do mnie ramiona wyciągała i w słodkie brała mnie objęcia. A było mi przytem tak przyjemnie, że życzyłem sobie, aby cała droga składała się z samych chwiejących się mostów.

Wreszcie dobiłem do portu. Ujrzałem przed sobą dworek staroszlachecki z pokiereszowaną przez czas facyatką. Bramka wypadała z zawiasów i na znak gościnności dzisiejszej stała potulnie oparta o parkan. Za bramką był obfity zbiornik wody, służący do obmywania kół z drogi błotnistej. Na ganek prowadziły schody, starannie na dzisiejszą uroczystość cegłami podparte.

Gdy dorożka przed gankiem po raz ostatni stęknęła, wybiegły z sieni trzy gracye. Ją poznałem odrazu. Miała na sobie tęsamą suknię różową, w której po raz pierwszy rozmawiała ze mną o mojej nowelli. Widziałem w tem myśl głębszą. Chciała mi dzisiaj w tejsamej barwie stanąć przed oczyma, w jakiej po raz pierwszy uderzyło do mnie jej serce — tymsamym bufkom i koronkom chciała powierzyć to, co się w niem dzisiaj odbyć miało.

Wyciągnęła do mnie, jak zwykle, obie rączki i długo patrzała na mnie w milczeniu. Od czasu do czasu przechodził po jej dłoniach jakiś dreszcz mimowolny, a twarz jej zmieniała się wtedy, jak się zmienia barwa jutrzenki, gdy promienie słońca przebijają się coraz więcej przez mgły nocne.

Przy niej stały dwie towarzyszki, również młode, jak ona. Jedna była szatynka, a druga brunetka. Obie patrzały na mnie z pewnym uśmiechem figlarnym i mimowolnie przypominały mi owe ładne kusicielki św. Antoniego Pustelnika, jak to raz na obrazie Herbsthofera widziałem. Między mną a św. Antonim była ta różnica, że on opierając się pokusom, trzymał się krzyża stojącego na skale, a ja trzymałem rączki Leonili. Daremna była pokusa: zapatrzony w Leonilę, prawie ich nie widziałem.

— Jakże panu podziękować za tyle trudów podjętych!— ozwała się Leonila—jakże odwdzięczyć się za tyle wzniosłych i pięknych myśli, jakiemi wzbogaciłeś duszę moję, powierzając je papierowi listowemu!... Nie wzięłam ich wyłącznie dla siebie, jak skąpiec, ale dzieliłam się, jak hojny bogacz, ze swemi sąsiadkami! Oto są dwie przyjaciółki, z któremi często o panu mówiłam, a które niemniej są ciekawe poznać tego, który im tyle przyjemnych chwil sprawił!

Twarze przyjaciółek uśmiechnęły się do mnie.

— Teraz polecam pana ich opiece, a ja wrócę do gospodarstwa domowego, aby po tak niewygodnej podróży gościa czemś dobrem posilić.

I wykręciwszy się na wysokim obcasiku, frunęła ode mnie. Zostałem z brunetką i z szatynką.

Kilka godzin upłynęło. Przywitałem się ze stryjenką, zjadłem wyborną przekąskę, ale z Leonilą nie mogłem wiele mówić. Krzątała się po wszystkich pokojach, ustawiała meble, poprawiała firanki, a od czasu do czasu wyglądała oknem na drogę do miasteczka. Czasem tylko rzuciła mi jakie słowo, a najczęściej tylko uśmiech lub spojrzenie.

I tego było dla mnie teraz zawiele. Obie przyjaciółki tak mnie wzięły w obroty, że mi nawet odetchnąć nie pozwoliły. Mówiły najczęściej obie naraz, a ja musiałem jednym tchem odpowiadać jednej i drugiej. Tysiące pytań, jak strzały w bitwach pogańskich, krzyżowały się przedemną, a ja musiałem jedne odpierać tarczą, drugie mieczem.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, a z Leonilą niewiele jeszcze rozmawiałem. Przyjaciółki jej nie puściły mnie ani na krok od siebie. Zaprowadziły mnie do ogrodu, kazały mi zrywać sobie kwiatki, szukać szczęścia i opowiadać, co każdy kwiatek oznaczać może. Czasami przybiegła do nas na chwilę Leonila, a stwierdziwszy, że się doskonale bawię, odbiegała do zajęć domowych. Goście z dalszego sąsiedztwa zaczęli się zjeżdżać, a mnie było jakoś smutno między brunetką a szatynką. Inaczej wyobrażałem sobie dzisiejszą uroczystość. Myślałem, że z Leonilą będę chodził po alei, siedział w altanie, lub na werandzie. Tymczasem Leonila zajęta była gośćmi, a ja musiałem się przymuszać do rozmowy z memi nieodstępnemi towarzyszkami. Przyznam się, że ta rozmowa zmęczyła mnie niepospolicie i byłbym uciekł w najodleglejszy kąt ogrodu, gdyby mnie prawie za poły nie trzymały.

Jeden z ostatnich przyjechał szpakowaty jegomość, dobry mój znajomy z obiadu. Panna Małgorzata w szafirowej sukni była jeszcze bledszą. Świeciły się tylko jasno jej oczy szafirowe, któmi już mnie witała. Były w nich jeszcze resztki owego spojrzenia, jakiem mnie niedawno żegnała, a jakiego dotąd jeszcze dobrze zrozumieć nie mogłem.

Wreszcie ozwał się trzask z batoga, i jakieś niemiłe sprawił na mnie wrażenie.

— Chodźmy na ganek — rzekły naraz moje towarzyszki — bo to ktoś jedzie... ktoś....

Nie dokończyły, ale ich uśmiech, ich spojrzenia miały w sobie coś złowrogiego. Machinalnie wyszedłem za niemi.

Przed gankiem zaryły się właśnie kopytami cztery spienione szpaki, furman w sutej liberyi siedział na koźle, a z błyszczącego faetonu wysiadał właśnie pan Jacek. Miał ubiór elegancki, oile na to grubawa jego i mała figurka pozwalała, a na rumianej, tłustej twarzy uśmiech niepospolitego zadowolenia.

Nastąpiła chwila powszechnego milczenia. Była to cicha adoracya szpaków, faetonu, a może i właściciela tychże.

Leonila należała do wyjątków. Ujrzawszy pana Jacka, cofnęła się do salonu. W drodze rzuciła mi serdeczne spojrzenie i uśmiechnęła się z pewną ironią. Domyśliłem się, że ta ironia odnosi się do pana Jacka.

W salonie ugrupowało się już całe towarzystwo, gdy wszedł pan Jacek. Stryjenka przywitała go serdecznie, Leonila zaś uznała za stosowne odwrócić się od niego i rozpocząć ze mną rozmowę. Była to pierwsza chwila, w której dały mi nieco odetchnąć moje towarzyszki. Ale nie trwało to długo. Pan Jacek zbliżył się do nas. Rumiana twarz jego wydłużyła się trochę, gdy mnie ujrzał. Niezgrabnie wyciągnął rękę do Leonili, która zaledwie podała mu jeden paluszek. Ukłoniła się sztywnie. Pan Jacek spojrzał na mnie ze złością, jakby mnie chciał zabić swemi małemi oczkami. W tej chwili odwołała stryjenka Leonilę, a ja ujrzałem się znowu między brunetką a szatynką.

Zabawa rozpoczęła się napiękne. Głośne rozmowy rozmaitych grup napełniły cały salon. Jakaś zwiędła guwernantka otrzymała nakaz grania na fortepianie, co nawet milczących dotąd gości zagrzało do głośnej rozmowy.

Podano herbatę. Leonila zajęta była nadzorem nad ciastami, zachęcając wszystkich. Pan Jacek chciał jej pomagać, ale odepchnęła go uśmiechem zimnym i sztywnym. Sprawiło mi to niemałą przyjemność.

Po herbacie zabawiano się dalej. Starsi siedli do gry w karty, a młodzi kręcili się między kobietami, sadząc się na rozmaite koncepta. Niektórzy używali pięknej nocy i pełni księżyca. Przechadzali się po werandzie, a nawet zapuszczali się między kląbiki kwiatów. Ja byłem ciągle między brunetką i szatynką.

Po upływie niejakiego czasu spostrzegłem, że kobiety zaczynają sobie coś szeptać do uszu. Nawet moje towarzyszki przerwały na chwilę nieustającą rozmowę ze mną i kilkakrotnie zamieniły z sąsiadkami niezrozumiałe dla mnie słowa. Niekiedy zwracały główki gdzieś w oddalony kąt werandy, gdzie jednak nikogo nie było widać. Szepty te powtarzały się częściej, a nawet stawały się coraz dłuższemi. Leonili nie było w salonie.

Po godzinie zaproszono do kolacyi. Siadłem przy stole między brunetką a szatynką, bo inaczej być nie mogło. Śledziłem okiem, gdzie usiądzie Leonila, ale Leonili w salonie nie było. Naprzeciw mnie siedziała panna Małgorzata.

Wreszcie pozajmowali wszyscy miejsca swoje. Jedno tylko krzesło było wolne... obok pana Jacka. Pan Jacek był w niezwykłej emocyi i kręcił wkoło palca swoje płowe wąsy. Dla odmiany rzucał do ust duże kawałki chleba i połykał je odrazu. Tylko Leonili brakło jeszcze.

Nareszcie weszła. Miała twarz nieco zmienioną. Ujrzawszy próżne krzesło koło pana Jacka, zwróciła się w przeciwną stronę.

— Siadaj, Leoniu—ozwała się stryjenka— jest próżne krzesło koło pana Jacka.

Leonila zawahała się.

— Siadaj, serce — nalegała stryjenka — przecież stać nie będziesz.

Leonila usiadła. Żal mi się zrobiło biednej Leonili. Widocznie: nie była zadowoloną ze swego miejsca.

Wszystkich oczy patrzały na Leonilę i pana Jacka. Szeptano do siebie półgłosem. Tymczasem odzyskała Leonila dawną swoję swobodę. Zaczęła rozmawiać z panem Jackiem, który z tego powodu wpadł w takie roztargnienie, że zjadał sąsiadom kromki chleba, podawane ciągle przez służącego.

Wieczerza trwała długo. Głośne rozmowy ucichły i zdawało się, że czegoś oczekiwano.

Nalano w kieliszki starego węgrzyna.

— Pozwólcie państwo — ozwał się najstarszy sąsiad — że wywiążę się z danego mi polecenia i wzniosę toast na cześć narzeczonych... panny Leonili i pana Jacka.

Wszyscy powstali z kieliszkami. Nie pamiętam już co się wtedy ze mną działo. Przyszedłem dopiero do przytomności, gdy Leonila z kieliszkiem w ręku stanęła przede mną.

— Tak pan zajęty swemi sąsiadkami — ozwała się dźwięcznym głosem — że nawet nie chcesz wypić mego zdrowia. Przychodzę sama dopomnieć się o to.

Machinalnie stuknąłem kieliszkiem.

— Chciałam panu pierwszemu zwiastować tę nowinę — mówiła dalej z anielskim uśmiechem — bo to należało się memu przyjacielowi... ale pan byłeś tak zajęty rozmową...

I wyciągnęła do mnie drobną rączkę.

Nie pamiętam, com zrobił z tą rączką. Opamiętałem się dopiero, gdy szpakowaty jegomość pociągnął mnie za sobą do przyległego pokoju.

— Wypalimy sobie dobre cygarko, mości dobrodzieju—rzekł do mnie, sadzając mnie na sofie i pomówimy słówko.—Wy, co to piszecie książki, wiele możecie zrobić. Panna Leonila długoby jeszcze siedziała ze swoim wianuszkiem na głowie, gdyby nie pan. Jak zaczęliście oboje pisywać do siebie długie epistoły, to w całym powiecie zaczęto mówić, że to musi być panna nie lada, jeżeli człowiek, co pisze wiersze, z nią korrespondje. Kobiety, mówię panu, a osobliwie panny, zazdrościły jej, bo to, panie dobrodzieju, rzuca zawsze pewne światło. Widzą je prędzej, i prędzej jakoś zapalają się affekta. Pan Jacek nie byłby może zdobył się na słowo ostateczne, ale, widząc, że mu w drogę wchodzi taki człowiek... Gdybyś to, panie dobrodzieju, chciał kiedy napisać do mojej Małgosi...

Uderzyłem się po czole i wyszedłem.

* * *

Nazajutrz nad wieczorem siedziałem w moim pokoiku przed kominkiem. Na kominku palił się zwitek papieru różowym szpagatem związany.

Wszedł redaktor.

— Co robisz? — zapytał.

— Palę moję pierwszą nowellę—odpowiedziałem surowo.

— Dlaczego?

— Bo ona nauczyła innych niecnej intrygi! Autorowie nieraz uczą dopiero intryg i różnych rafineryi, o których się przedtem żadnemu czytelnikowi nie śniło! A jeszcze boleśniej jest, jeżeli intrygi autorskiej użyto przeciw samemu autorowi!.

Opowiedziałem redaktorowi wydarzenie z moją pierwszą nowellą.

Redaktor śmiał się do rozpuku.

— Śmiej się — zawołałem w oburzeniu — ale zważ zarazem, ileż to złego przechodzi do nas z tą literaturą, z temi powieściami, z których przyszli zbrodniarze uczą się intryg i podstępów, z temi komedyami, na których zaznajamiają się dopiero nasze kobiety z tem, o czem dawniej nawet nie wiedziały!...

Redaktor śmiał się ciągle ze mnie, że moja pierwsza nowella tak srogo na mnie samym się zemściła.

Spostrzegłem jednak, że od tego czasu nie tak często zamieszczał w swojem piśmie powieści kryminalne lub z intrygą wyrafinowaną, do jakich pierwiej miał wielką słabość.

Koniec.

BRUXELLA

(Wspomnienia z podróży).

Wspomnienia z podróży powinnyby zawsze odpowiadać usposobieniu człowieka. Ten, kto przybywa ze wsi, ten kto ją porzucił raz pierwszy w życiu, musi na każdym kroku wpadać w zachwyceni; temu i najmniejsza mieścina wydaje się ogromem, a wielkie prawdziwie miasto zdumiewa go i rzuca w pewien rodzaj zamętu w myślach. Trwa to dopóty, póki rozwaga nie rozklassyfikuje nakoniec tych nowych wrażeń, na każde z nich znalazłszy komórkę, w której pozostanie aż do nowych sprawdzianów wobec nowych widoków i wrażeń.

Komórki te—każdy z moich czytelników przypomni sobie, że je zużytkował nieraz w swojem życiu. Da się to najlepiej sprawdzić, kiedy chodzi o przypomnienie sobie nazwiska lub miejsca; myśl wówczas błądzi i szuka po głowie, aż naraz, jakby za dotknięciem sprężyny jakiejś, otwiera się tajemna komórka, i nazwisko, rzecz, widok, staje przed nami w całym swoim blasku. Im więcej takich posiadamy komórek (dagerotypów), tem bogatsi jesteśmy w wiedzę—i tem mniej wrażliwi. I tak, tego, co z Rzymu do Tusculum przybywa, nic tam nie zadziwi zapewnie, lecz tylko przyjemne wrażenie wsi uspokoi mu zbyt rozbujałą wyobraźnię i ukołysze ją powoli, jakby do sennego marzenia.

Taka jest niby reguła; ale na świecie wszystko się dziwnie plecie—a wyjątków jest tyle! Otóż ja jechałem z Paryża do Bruxelli—z Rzymu więc do Tusculum prawie. Mówiłem już, jak słabe były wrażenia i jak słabe widziałem różnice pomiędzy obliczem ludzi i rzeczy dwóch sąsiednich krajów; a przecież widok samej Bruxelli, nawet i po Paryżu—i po tylu widzianych w życiu stolicach—uczynił na mnie, jakby nowe, silne i przyjemne wrażenie.

Miasto składa się z dwóch części, górnej i dolnej, jakby z nowego i starego miasta.— Daje to jego zarysom pewien wdzięk artystyczny, który, łamiąc nudną zawsze jednostajność linii poziomej, weseli oko rozmaitością i przyciąga ciekawość do szukania szczegółów i drobnostek. Lekkie, powiewne, spiczaste wieżyczki ratusza i świątyń potężna gotycka massa kościoła Świętej Guduli; — świadczą, że gród ten starsze pamięta czasy. A na tem tle, trochę zamglonem, nowożytnych pałaców i domów rozsiadła się wspaniale dziwna jakaś budowa, przypominająca w mniejszych rozmiarach Św. Piotra rzymskiego i paryzki Panteon, ale zadziwiająca nadewszystko, nie kopułą, nie wierzchołkiem, jak tamte, ale olbrzymią prostokątną podwaliną i jakby oszlifowaną skałą, w kondygnacye i piętra, na których dopiero postawiono jakąś świątynię Jest to trybunał—dom sądowy, *Palais de Justice*; gdy się patrzy na ten gmach, zdałoby się, że ludzie tutejsi muszą być straszliwi pieniacze: bynajmniej, prawują się zapewne czasami, ale bez wielkiego zamiłowania palestry i przedsionków Temidy; weseli, gadatliwi, z tym twardym trochę akcentem, z którego się naśmiewają Francuzi, lubią się bawić, dobrze i dużo jeść, nie zaniedbując wcale praktycznej strony życia. Kraj i ludzie są zamożni i rządni; widać to na każdym kroku.

Kościół św. Guduli, oprócz samej budowy, która jest wspaniała i piękna, posiada skarb nieoszacowany, to jest malowane okna (vitraux); szczególnie te, któremi jest ozdobiona kaplica Przenajświętszego Sakramentu, wykonane z rysunków i pod kierunkiem Rembrandta, są niewysłowionej piękności; widziałem ich tyle w mem życiu, a nic piękniejszego nie znam.

Mówiłem już wam o ratuszu: nie wracam więc do tego przedmiotu i poprowadzę was raczej do Muzeum. Powiadają mi w drodze, że Bruxella jest nad Senną: musi tak być, kiedy geografia tak głosi, ale ja żadnej tu rzeki—ani *sennej* ani *zbudzonej* nie dostrzegłem.

Muzeum i biblioteka są pomieszczone w pięknym i obszernym gmachu. Muzeum, jako urządzenie i oświetlenie, może być wzorem dla wszystkich, a posiada niezmierne skarby. Rubens tu króluje, i to się rozumie. Sala jego, nawet przy wspomnieniu antwerpskich tryptyków, jaśnieje wielkością geniuszu tego mocarza kolorytu, a daleko, daleko przewyższa paryzką, takzwaną Medyceuszowską galeryą. Jest tu portret mężczyzny jego pendzla—bezzaprzeczenia nietylko arcydzieło, ale i najwspanialszy portret na świecie. Ze starej Szkoły Flamandzkiej obrazy Memlinga, Van-Eyka są niesłychanej wspaniałości, a Teniersy, Hobemy, Ruisdaele, że zamilczę o innych, są tak piękne, iż zdaje się, że po raz pierwszy widzi się tych mistrzów, gdy się patrzy na to, co posiada muzeum bruxelskie. Straszne-bo jest sąsiedztwo takich olbrzymów; wszystko maleje wobec ich potęgi: to też o nowożytnej szkole nie powiem nic i to jedno tylko postawię pytanie: jaka może być przyczyna, że nowożytni artyści flamandzcy, odrzucając wszelką tradycyą swych przodków, — i to jakich przodków!—rzucili się w stronę naśladownictwa Szkoły Francuzkiej? Dzieła więc całej tej plejady, które się i dotąd zasila nowymi artystami, są bez żadnego wybitnego charakteru i noszą na sobie cechę wstrętnej i źle zrozumianej obczyzny, która i na własnym swym gruncie jest daleką od ideału.

W bibliotece, która jest liczna i dobrze urządzona, widać wiele rzeczy ciekawych. Wydział rękopism dosięga poważnej liczby 12,000 voluminów. Są tu mszały, psałterze i kroniki ozdobione miniaturami, z których wiele jest niezrównanej piękności. I tak, mszał wykonany dla Macieja Korwina, przez jednego z najpierwszych miniaturzystów świata, Attavantego, jest niesłychanej wspaniałości i blasku. W liczbie miniatur i ozdób jest śliczny medalion Macieja i jego małżonki—i bardzo często powtarzany herb Korwinów, który wszędzie prawie pokryty jest herbami Książąt Burgundyi, przylepionymi z wierzchu; exemplarz ten bowiem przeszedł później w posiadanie Książąt Burgundzkich.

W liczbie książek ozdobnych jest niewielka książeczka in 12-mo, słowiańskiem pismem, z XVI lub XVII wieku, z tłómaczeniem tatarskiem textu, pisanem pomiędzy wierszami. Przylepiona wewnątrz kartka opiewa: że książka ta jest w części poświęcona regule nawracania Tatarów, a w części jest rytuałem nabożeństwa, jakie się i dziś odprawia w cerkwiach ruskich; nota, pisana pofrancuzku, nosi podpis: „Prot Srzeniawa Potocki“. Niech nam daruje szanowny Srzeniawita, ale tu się omylił najzupełniej; książka ta bowiem tytułem pierwszej swej kartki tłómaczy się dostatecznie. Czytamy tam następne słowa: „Kniha glagolemaja *Jeru Olu*, tworenje propohobnoho otca naszeho Joanna Damaszkina“. Jest to więc tłómaczenie znanego traktatu św. Jana Damasceńskiego, pod tytułem greckim: Ἱερὸν Ὄλον, tłómaczenie wykonane przez Missyonarzy Jezuitów w XVI lub w XVII wieku, pisane piękną kursywą słowiańską, z tłómaczeniem na tatarski język, pisanem pomiędzy wierszami. Ciekawy ten zabytek godziłoby się wydać na świat.... ale.... tyleby się godziło—idźmy więc dalej.

Gabinety medali i rycin są bardzo zamożne; w jednym, jak w drugim, znajdują się wielce ciekawe i rzadkie okazy. Ryciny flamandzkich mistrzów są prawie kompletne i mogą służyć za ważną pomoc w historyi wydawnictwa.

Jest tu jeszcze dosyć ciekawa wystawa dzieł, jednego z nowożytnych malarzy belgijskich—charakterystyczna ze względu, że artysta ten i dzieła jego są jakby streszczeniem tego, co stanowi wyłączną cechę naszej epoki: wielka i obszerna znajomość techniki, przesada w twórczości, obłęd i szał wyobraźni, rozpasanie niezdolne do stworzenia prawdziwie trwałego, skończonego, kompletnego dzieła.

Artystą tym jest malarz Antoni Wiertz, urodzony w 1806, † w 1865 roku. Obdarzony prawdziwie artystycznym temperamentem, Wiertz nie podołał swej wyobraźni, której nie potrafił nigdy ująć w karby i która wykoleiła go z tej drogi prostej i jasnej, na jakiej jedynie artysta i człowiek może urzeczywistnić całą potęgę swojego ducha. Niczem nieokiełzana wyobraźnia—jest to potęga naszego czasu i wieku! Ujęci newrozą, śpieszymy dalej i dalej. Czasu i życia nam nie staje, aby ogarnąć i wypełnić cały zakres marzonych a nie sprawdzonych zagadnień. Wiertz pozostawił ogromny po sobie spadek; olbrzymich rozmiarów płótna, nie były w stanie objąć i zamknąć powziętej myśli, która wiecznie wylewała się poza granice ich ram. Są tu zalety niezmierne kompozycyi, rysunku, kolorytu; ale, niestety, wszystko to ginie i przepada w tej powodzi chaotycznej, niczem nigdy nieujętej wyobraźni.

Od pierwszego dzieła wykonanego w Rzymie 1837 r. *(Grecy i Trojanie wydzierający sobie zwłoki Patrokla)* aż do *Buntu piekła przeciwko niebu*, wykończonego nakrótko przed śmiercią malarza, artysta nie cofnął się ani na krok na obranej raz drodze, ale też ani się na krok nie posunął naprzód: zawsze tażsama umiejętna technika i tażsama nieumiejętność owładnięcia zbyt rozbujałej wyobraźni.

Jeden z najlepszych i najwyrozumialszych krytyków tak się wyraził w swoim czasie: „Pan Wiertz nie zdaje się bynajmniej stosować do modelu, który mu pozuje. Szuka effektów jedynie w swej wyuzdanej wyobraźni. Postacie jego obrazów, ogromne nadzwyczaj, ciężko modelowane, pokazują nam nagości, jakich natura nie tworzyła nigdy, które przecież w swej dzikiej wielkości, mają niejakieś pokrewieństwo z potężnemi utworami Michała Anioła.

Krytyka ta, sprawiedliwa wówczas, sprawiedliwszą jest też i dzisiaj. Potomność nie osądzi Wiertza inaczej. A artyści z zajęciem i uwagą będą patrzeć na ten straszliwy chaos, niebędący przecież nicością, i niejeden przyklaśnie zuchwałym usiłowaniom talentu, któremu zbrakło karbów koniecznych i miary—do tego, aby był istotnym geniuszem.

Y

RUCH MUZYCZNY.

Kreśląc pierwsze powakacyjne sprawozdanie muzyczne, nie możemy wprawdzie wyrzekać na *embaras de richesses* w wyborze treści; gdyż owa żyłka artystyczna, którą się Warszawa chlubi, zaledwo zaczęła pulsować. Skwapliwie jednak nasłuchujemy pierwszego tętna, dobrze zeń wróżąc o przyszłości na jesienny i zimowy sezon. Dwa ogniska muzykalnego ruchu, Towarzystwo Muzyczne i Teatr, rzuciły pełne zachęty wezwanie naszej publice. Pierwsze dało już trzy większe koncerty i dwa mniejsze wieczorki muzykalne, odznaczają się doborowym programmatem i nacechowane prawdziwą artystyczną wartością, dzięki takim talentom jak, pani: Szlezygier-Kamińska, pp. Górski, Barcewicz i Jeromin.

Pani Szlezyngier-Kamińska w wykonaniu aryi Pazia z opery „Wesele Figara“ Mozarta, oraz pieśni Żeleńskiego i Moniuszki, była, jak zawsze, intelligentną artystką-śpiewaczką budzącą najsympatyczniejsze wrażenia. Pan Górski, oprócz w kilku drobniejszych dziełach, dał się słyszeć w pięknej „Suicie“ Joachima Raff'a, którą z prawdziwym artyzmem pojął i wykonał. Zachwycając się tą grą szlachetną, pełną finezyi, głębokością uczucia w śpiewie słodkim i czystym, który zdaje się spływać w duszę słuchacza, by ją wzruszyć, przeniknąć, rozmarzyć, zadawaliśmy sobie pytanie: czemu tak rzadko, tak skąpo udziela się pan Górski, szerszemu audytoryum, które go tak gorąco zawsze przyjmuje?

Pan Barcewicz, wierny swemu zadaniu, imponował nam siłą tonu, szerokością stylu i werwą iście ognistą. Tym razem wdzięcznym polem popisu były: „Rondo caprice“, Saint-Saens'a, Fantazya z opery „Faust“, Sarassate'go, oraz kwartet smyczkowy Dawidowa, w którym świetnie prowadził partyą pierwszych skrzypców. Kwartet ten obudził powszechne zajęcie, gdyż autor jego nie był nam znanym z dzieł większego rozmiaru, przekonaliśmy się, że pan Dawidow, nietylko jest dzielnym wirtuozem wiolonczelistą, lecz i ogólnie wykształconym artystą, znającym gruntownie instrumentacyą smyczkową, którą w tym kwartecie znakomicie wyzyskał. Dzieło to jednak nie zachwyca genialnością pomysłów, ani oryginalnością stylu; pan Dawidow chce widocznie należeć do nowszej szkoły kompozytorów, którzy, oszczędnie używając treści, wyzyskują ją i z prawdziwą sztuką rozprowadzają. Już to chorobą wieku jest ta spekulatywność w sztuce, często maskująca ubóstwo pomysłów effektami mniej lub więcej zręcznemi.

Dawno już nie słyszeliśmy równie pięknego głosu, jakim p. Jeromin włada, a co ważniejsza, że włada nim umiejętnie, posługując się swobodnie wytworną szkołą włoską, której jest wychowańcem. Głos jego, bas-baryton, sympatycznego oddźwięku, nadaje się szczególniej do wspaniałego cantabile, gdzie bez przeszkód może rozbrzmiewać: to też cokolwiek byliśmy zadziwieni repertoarem śpiewów, wykonanych przez p. Jeromina, które nie ze wszystkiem były mu odpowiedniemi tak pod względem charakteru, jak i skali.

Prócz dotąd wymienionych artystów w koncertach Towarzystwa Muzycznego występowały i inne siły wykonawcze, jako to: chóry Towarzystwa, pani Tuszowska, amatorka-śpiewaczka, uczennica pana Noskowskiego, panna Fryderici pianistka, oraz p. Cieślewski, oddawna zasłużony tenor naszej opery.

Opera nasza, w tych kilku ostatnich tygodniach dwarazy mocno nas zaciekawiła — raz, gdy po bardzo wielu latach ukazała się na scenie opera „Napój miłosny“ Donizetti'ego, a powtóre, gdy mieliśmy usłyszeć prymadonnę scen włoskich pannę Elly Russel w roli „Łucyi z Lamermoru“. Opera „Napój miłosny“, jest to sobie jedna z tych wesołych staruszek, opowiadających dawne dzieje, których się z przyjemnością słucha, lecz które rażą nas nieraz swemi zacofanemi poglądami i naiwnością sądu — mamy dla nich jednak wielki szacunek: jako dla babek naszego pokolenia. Z temsamem uczuciem słucha się tej opery, wprawdzie nie tak starej, jak nasze babki, lecz równie pozostałej na ubocza w postępie sztuki odpowiednim do wymagań czasu. Odnajdujemy tam cały arsenał dawnej broni — starego komizmu (Dr Dulkamara), liryzmu (Nemorino), a nawet i maleńkiej dramatyczności w postaci podstępnego sierżanta, lecz wszystko to choć wdzięczne, jest

takie drobne, biedne, a czasem śmieszne, bez intencyi śmieszności. Stereotypowa kantylena włoska, a która pomimo wszystkiego stanowi jeszcze rzeczywistą wartość tego dzieła, ratuje sytuacyą; lecz są to słodycze, których zbyt dużo spożywać nie można, a zdrowego pokarmu tam niema. Pani Klamrzyńska i pan Myszuga robili, co mogli, by swemi młodemi głosami odmłodzić zwietrzałe temata, podnieść siłę ustępów zbiorowych i trzeba przyznać, że im się to udawało.

Występ panny Elly Russel w „Łucyi", operze popisowej dla śpiewaczek koloraturowych, możemy właśnie tylko w tym znaczeniu przyjąć. Są opery, które utrzymują się na scenach jedynie dzięki tej swej zalecie ograniczającej się nieraz do szczupłych rozmiarów jednego aktu a nawet i jednej sceny, na którą oczekuje się z wytężoną uwagą, by w niej poznać zasoby artystyczne danej śpiewaczki. Otóż w „Łucyi" tym punktem kulminacyjnym, owym kamieniem próbierczym, jest scena obłąkania w akcie trzecim. Nie możemy zaprzeczyć, że panna Elly Russel wyszła dość zwycięzko z podjętej roli. Głos jej bardzo wyrobiony, wyrównany, jest jednak trochę zmęczonym, przez co utracił swą dźwięczność w wyższym regestrze. Giętkość głosu uwydatnia się najwięcej w staccatach, prawdziwie zdumiewająco lekkich, *mezza voce* jest bardzo przyjemne i delikatne, frazowanie okresów muzycznych bardzo starannie wykończone, jak również umiarkowanie w effektach brawurowych, które nigdy nie przekraczają granic dobrego smaku—wszystko to dobrze świadczy o wykształceniu artystki. Słabą stroną jej śpiewu, jest tryl niedość szybki i rowny, oraz gamy niedokłane w swym przebiegu, przybierające czasem jakąś fantastyczną tonalność, która przykre na słuchaczu robi wrażenie.

W tejże operze mieliśmy przyjemność słyszeć dwóch naszych swojskich artystów, którzy godnie honor naszej opery podtrzymywali. Pan Chodakowski prawdziwie świetnie wyzyskał materyał swego głosu. Akt pierwszy stał się dla niego nieprzerwanym tryumfem, tem milszym, że niepodzielnym. Pan Myszuga, o którym w pierwszych jego występach wyrażaliśmy się bez entuzyazmu, czując, że nie jest jeszcze tem, czem być może w przyszłości, usprawiedliwia obecnie to nasze przekonanie, gdyż każda nowa partya podjęta przez tego zdolnego artystę wykazuje coraz to nowy postęp ku doskonałości. Winszujemy mu tego z całego serca, ciesząc się jego ze wszech miar zasłużonem powodzeniem, które coraz bardziej zdobywa sobie usilną i wytrwałą pracą.

Z wydawnictw muzycznych notujemy tutaj i szczerze polecamy naszym czytelniczkom piękne dzieło Ignacego Paderewskiego, op: 10. Są to tak zwane „Pieśni majowe" (Album de Mai) w pięciu oddzielnych numerach noszących tytuły: Au soir, Chant d'amour, Scherzino, Barcarolle i Caprice-Valse; szczególniej pierwsze cztery zalecają się prawdziwą oryginalnością i wdziękiem, przy bogactwie pomysłów i charakterystyce formy. Barkarolla wymaga więcej od innych swobody techniki u wykonawcy, lecz przy obecnym kierunku pracy fortepianistów dzieło to może być przystępnem dla wielu. Walc, mniej oryginalny od poprzednich, najmniej się nam podobał.

Nie wdając się w zbyt drobiazgową ocenę tych dzieł, a to zpowodu braku miejsca, nie możemy się jednak powstrzymać, by nie nadmienić jednej uwagi, która mimowoli nam się nasuwa, a jest nią ta, że p. Paderewski zanadto poszukuje effektów brzmień niezwykłych, jakby zaczerpniętych z czarodziejskiego swiata przyrody, lecz ktore muszą być użyte bardzo *pianissimo*, aby były dla naszego słuchu znośnemi; są to niebezpieczne drogi, któremi często schodzi się do maniery.

Juliusz Stattler.

ZAGRODA DE LA CARIDAD

EPIZOD Z WOJNY

FRANCUZKO-HISZPAŃSKIEJ 1808 ROKU

przez

Henryka Rodriguez de Salis

przełożył z hiszpańskiego D.

(Dokończenie).

Rosły silny koń był już gotowym do drogi Mięsiste jego chrapy roztwierały się szeroko, radośne rżenie wyrywało mu się z piersi; zdawało się, iż zwietrzył swego pana: ale przeor pogłaskał go, uciszył, wyprowadził tyłami podwórza, oddał cugle starcowi—i kawalkada ruszyła w drogę.

Przeor jednak wrócił jeszcze do domu i przez szczeliny bramy ujrzał Jakóba, gdy ten, ranny, podniósłszy się przecież na jedno kolano, błagał Matki Boskiej o ocalenie swej biednej rodziny. Przeor odpowiedział mu przez szczelinę.

Kiedy padł nowy strzał i Jakób runął na ziemię już trupem, przeor kląkł u drzwi i odmówił modlitwę, jaką Kościół ma dla ginących śmiercią gwałtowną. Ale Jakób umierał zarazem śmiercią szczęśliwą: ginął jako bohater, i troska o rodzinę nie szarpała mu duszy. Padł też z twarzą rozjaśnioną.

Przeor powstał z kolan i podniósł ręce w górę:

— Boże sprawiedliwości i miłosierdzia! — zawołał — wybaw chorą niewiastę i niemocnego starca, zachowaj życie dziecięciu po bohaterze! Panie, którego sprawiedliwość jest tak wielką, jak miłosierdzie nieskończone, wybaw ich, a niech ja raczej zginę.... Dokończywszy tej modlitwy, zwrócił się na tyły podwórza i tulił dziecię, które się uśmiechało, nierozumiejąc co się dzieje wkoło niego. Przeor doścignął zwolna jadących. Wielki pies podwórzowy poszedł za smutną swą panią, zwracając co chwila łeb ku domowi.

III.

Czas, który jest cząstką wieczności, płynie nieprzerwanie w swym biegu: po śniegach zimy przychodzi zieloność wiosny, mogiły porastają trawą, na zgliszczach człowiek buduje sobie domy nowe a sieroty rosną tak jak i dzieci szczęśliwe, na które nie padł nigdy cień śmierci i żałoby. Tak się stało i we wsi katalońskiej. Antonio, syn Jakóba dorósł i mieszkał jak ojciec jego w Masia de la Caridad; było przecież coś, co go różniło od innych współmieszkańców wioski.

Wyniosłe jego czoło, piękne żywe oczy, pełne słodkiego uroku, usta rumiane, na których przecież błąkał się zawsze smętny uśmiech, ubior czarny, jak niezdjęta nigdy żałoba sieroty, a nadewszystko wspomnienie ojca—czyniły z młodzieńca postać wyjątkową: bił już i od niego jakgdyby blask bohaterstwa. Odziedziczył on po ojcu męztwo, serce wylane dla ludzi i miłość ojczystej ziemi. Gdy sierota wrócił do wsi z matką i dziadkiem, pokazano mu najpierw krzyż prostej roboty, który ci przyjaciele poległego, co w niewielkiej liczbie przeżyli ową straszną noc w 1808 roku, wznieśli przed jego domem rodzinnym — krzyż, pamiątkę smutnych dziejów, przed którym klękały zawsze dzieci i odkrywali głowy ludzie przechodzący. Ci ludzie prosci nie minęli nigdy syna szlachetnego ojca, nie uczciwszy go podobnie odkryciem głowy. Czynili tak starcy nawet, oddając cześć krwi, która płynęła w jego żyłach i żałobnej szacie, którą nosił. Przyjaciele otwierali przed nim ramiona i przyciskali go do serca, bo był obrazem poległego bohatera.

Dziadek, który dożył późnego wieku, opowiadał mu czasem po nocach całych o ojcu, o jego miłości kraju i heroicznej waleczności, o rozlicznych jego cnotach. Matka, która jakoby cudem przyszła do zdrowia, a której oczy od lat czternastu z łez nie osychały, opowiadała mu dalej, jak ten ojciec go kochał, jak czuwał nad nim w dzieciństwie, jak go okrywał wśród nocy, gdy zimny wicher z gór przenikał do ich chaty, jak usypiał go staremi piosenkami, i jak wreszcie złożył ostatni pocałunek na jego czole. Trzecie, smutniejsze, opowiadanie, przy którem młodzieniec bladł i płonął, były to dzieje strasznej nocy: dzieje nieszczęsnego spalenia wsi przez Francuzów i śmierci Jakóba. O tem mówił mu przeor Benedyktynów, który nie byłby odstąpił nikomu tej smutnej powinności opowiedzenia synowi, jak zginął jego ojciec. Syn ten słuchał, czuł w sercu nietylko wzruszenie żalu i miłości — nie! w sercu młodem zrodziło się uczucie zemsty i w umyśle zagnieździła się myśl o odwecie. Jak? kiedy? młody góral nie wiedział o tem, ale czuł, że nienawidzi Francuzów i czekał pory.

Przyszła ona o świtaniu d. 5 Czerwca 1823 r. Pola były wtedy okryte bujnem zbożem, łąki wystroiły się w kwiaty. Powietrze po parnej czerwcowej nocy było pełne balsamicznej woni jaśminów, lekki wietrzyk powiewał od strony Monsersatu, ale letnia noc, która poprzedziła ten poranek, kryła w sobie niezwykłe tajemnice. Księżyc wznoszący się w pełni srebrzył szczyty gór i zdawał się rozsiewać krople rosy; niebo bez chmurki błyszczało tysiącami gwiazd; słychać było w przestrzeni tylko szum strumienia, brzęk dzwonków trzody, czasem szczekanie psa, lub śpiew wieśniaka—gdy syn Jakóba, Antonio, w towarzystwie dwóch górali przedzierał się mało znanemi ścieżkami, ku temusamemu klasztorowi, w którego murach przed piętnastu laty ojciec jego wśród zebranych górali uczynił się wodzem wyprawy, mającej zastąpić Francuzom drogę do wnętrza Katalonii. Noc była przecież piękniejsza i cieplejsza niż wtedy; gmach kościoła rysował się poważnie przed oczyma ze swą wyniosłą, ostro zakończoną wieżą. Lecz nie jeden Antonio z towarzyszami swymi zmierzał do pustyni; wiele podobnych postaci przemykało się w milczeniu rozmaitemi ścieżkami, dążąc w tymsamym kierunku. W drodze zaczepiano się o ciernie, a każdy z idących ukrywał coś pod płaszczem—ukrywał broń.

Bo i teraz wrzała tu wojna i cudzoziemiec był w kraju. Hiszpania została znów zalana przez Francuzów. Generał Schwartz nadciągał z silnym oddziałem ku Saragossie, lecz wielka burza zmusiła go do zatrzymania się przez cały dzień w Manrezie.

Kilku mieszkańcom miasteczka udało się wymknąć potajemnie, i oni-to przynieśli synowi Jakóba wiadomość, że chwila jest sposobna do uderzenia na Francuzów, że w Manrezie ułożono plan napadu i jego obrano na wodza wyprawy. Antonio podniósł do góry piękne młode czoło i odetchnął głęboko. Zostawił wysłańców przy sobie i włączył ich do gromadki swych przyjaciół z Esparaguera, Paradella, San-Pedro i wsi sąsiednich; górale postanowili stawić opór przejściu wojsk francuzkich w głąb kraju.

Antonio miał w piersi dzielnego ducha, myśl zemsty dawno w nim rosła, marzenia odwetu kołysały go i plan miał już gotowy. W cichości ufortyfikował wieś: przemówił gorąco do mężnych, dodał ducha kobietom i postawił okolicę na stopie obronnej; dla połączenia się zaś z wieśniakami sąsiednich osad, naznaczył im punkt zgromadzenia się w klasztorze, dokąd zdążano w milczeniu i tajemnicy. Ilekroć ko przybył, Antonio wyciągał do niego rękę i dłonie ich się ściskały. Najstarsi z górali, towarzysze jego ojca, w których pamięci żyła noc jego bohaterskiej śmierci, pochwycili go w objęcia i łzy gorące zrosiły ogorzałe lica.

Głos poważny przerwał tę scenę wzruszenia; przeor Benedyktynów przybywał, aby przemówić do zgromadzonych. I on ze swojej strony nie dopiero dziś był czynnym; przygotowywał oddawna zapas broni i ammunicyi, mógł więc oznajmić przybyłym, że klasztor może im służyć pomocą: najpierw posłuży za miejsce obronne za warownię, następnie za szpital! Głos jego doniosły rozległ się wśród zebranych i podniósł ich zapał dzonych, gdy naraz zakonnik czuwający na wieży przyszedł oznajmić mu, że widać już nieprzy-

jaciela. Natenczas przeor zwrócił się do Antonia z szybkiem zapytaniem:—Czyś już gotów, synu?

— Już, ojcze—czekamy....

— A wieś?....

— Już oszańcowana.

— Wznieś więc w górę twe serce młodzieńcze! Ojciec twój patrzy z niebieskiego mieszkania swego. Duch jego stoi może teraz przed Bogiem i błaga go za tych, co chcą bronić ziemi hiszpańskiej.

Górale padli na kolana. — Błogosław nam, ojcze—zawołali, a przeor podniósł ręce.—Tak, synowie moi, błogosławię was w imię Boga miłosierdzia, który też jest Bogiem sprawiedliwości, jak nauczałem was przez lat tyle. Wierzyłem i czekałem, aż chwila nadeszła i Bóg zastępów da nam zwycięztwo.

—Amen—zawołali górale, chwytając za broń. Dzień już świtał: białawe światło zaczęło się ukazywać od wschodu, mieniło się w świetnych jutrzenki barwach, w różowych, fioletowych i purpurowych blaskach; aż niebawem i słońce ukazało się na widnokręgu.

Przy świetle jego promieni zabłysły z jednej strony bagnety żołnierzy francuzkich, z drugiej radość mężka zajaśniała na ogorzałych licach Katalończyków.

Francuzi wyruszyli w drogę spokojnie, pewnemi drogami; zdawało im się, że cała okolica jeszcze we śnie jest pogrążona, a wiedzieli, że nigdzie tu niema wojska, nigdzie załogi żadnej.

Ale była tu załoga czujnego ludu serc gorących. Obsadzono okna i wieże klasztoru, podczas gdy reszta górali ukryła się w ciernistych zaroślach i pomiędzy stromemi szczytami gór, środkiem których szła droga, ciągnąca się głębokim parowem. Była ona tak wązką, że zaledwie czterech ludzi mogło iść razem: więc górale z zasadzek swoich mogli niespostrzeżeni strzelać, celując niemal do pojedynczych żołnierzy.

Kiedy zakonnik wartujący na wieży dał hasło złożenia się do pierwszego wystrzału, przez głośny okrzyk, uderzono naraz we wszystkie dzwony i Francuów nagle przeraziło tak niespodziewane zakłócenie spokoju. Zatrzymali się na chwilę, a w tem zagrzmiały strzały górali, przy okrzyku Antonia:—Niech żyje Hiszpania!

Francuzi usiłowali nie tracić ducha, ale wązka droga, której już przebyli połowę większą i przez której wązki przesmyk byli ujęci i wyciągnięci jakby sznurem na cel strzałów górali, groziła im niechybną zagładą. Zabijano ich jak zwierzynę nagnaną w ostęp, podczas gdy ich kule gubiły się wśród górskich przesmyków; zamieszanie straszliwe powstało między nimi. Nie mogli, ani się cofać bezpiecznie, ani postępować naprzód, nie mogli nawet otrzymywać rozkazów od officerów swoich! Ci co byli w tyle, naciskali tych, którzy się znajdowali na froncie kolumny; górale tymczasem poczeli strącać na nich ogromne głazy, które, z rozpędem staczając się z gór, gniotły nieszczęśliwych.

Francuzi postanowili wreszcie odwrót, który uskutecznić było trzeba przez miasteczko Esparaguera, gdyż droga stanowiąca gościniec, prowadziła przez główną jego ulicę. Ale zastali ją już teraz zawaloną sprzętami, wozami i kamieniami; trzeba ją było zdobywać i mozolnie otwierać sobie, podczas, gdy ze wszystkich domów mężczyzni sypali na nich gęste strzały, kobiety zaś rzucały dachówki, kamienie, lały wodę wrzącą, — nawet ocet; wszelkiego rodzaju pociski sypały się na nich tak strasznie, niemiłosiernie i okrutnie, jak oni strasznie, niemiłosiernie i okrutnie chcieli torować sobie drogę wskróś serc i ciał hiszpańskiego ludu. Śmierć też i trwoga zapanowała nad nimi: bitny żołnierz uciekał teraz jak źwierzę spłoszone, a wieśniacy okoliczni, ruszywszy się na głos bijących dzwonów, wyprawiali teraz jakby łowy na stado rozbiegające się bezładnie.

Rozgromione wojsko zdołało w końcu przebyć rzekę Llobregat, straciwszy dwa działa; ścigano je i trapiono aż pod Barcelonę.

Po oczyszczeniu okolic Monserratu lud zwycięzki otoczył namiętnem uniesieniem młodego swego wodza, matka przyjęła w objęcia mściciela ojcowskiego zgonu, dziadek wyciągnął drżące ręce nad szlachetną głową, która z uszanowaniem schyliła mu się do kolan. Kobiety płakały, dzieci rzucały kwiaty pod jego nogi, mężczyźni krzyczeli mu z zapałem:—*Vivat!*

Wpośród tłumu ukazał się przeor Benedyktynów i uścisnąwszy sierotę — Ojciec twój — rzekł jest teraz w niebiosach duchem radosnym i duchem uspokojonym. Dokonałeś odwetu, zmusiłeś Francuzów, aby cofnęli się wtył i tryumf, który dziś święcimy, odpowiada ofiarom. Niechże teraz będzie z wami ta wiara, że Bóg miłosierdzia jest także Bogiem sprawiedliwości!

DROBNE LISTKI.

— **Telefoniczne przesyłanie głosu po zwykłych drutach telegraficznych** jest nową zdobyczą postępu. Dokonał jej Belgijczyk, von Rysselberghe; próby czynione na Wystawie powszechnej w Antwerpii udały się najpomyślniej. Koncerty dawane w rozmaitych miastach belgijskich były słyszane w sali wystawy, a transmissya głosu dokonywała się przez zwykłe przybory telefoniczne, nie przerywając bynajmniej czynności telegrafów które działały jednocześnie.

— **Dzielny czyn kobiety** jest obecnie opisywany przez wszystkie dzienniki angielskie. Anglia posiada kolonią karną dla Indyi na wyspie Camorta, położonej wśród grupy Wysp Nikobarskich w Zatoce Bengalskiej, o trzysta mil morskich od wszelkiej innej posiadłości angielskiej oddalonej. Wyspy Nikobarskie, wśród których Camorta jest największą, są prawie niezaludnione dla złego klimatu i trudnych warunków życia; Anglia przecież urządziła tam w 1869 r. kolonią dla przestępców Indyan i do ostatniego czasu był tam z jej ramienia rządzącym kommendantem Duńczyk, von Roepstorff, który poprzednio próbował na własną rękę, lecz daremnie, kolonizacyi Wysp Nikobarskich i Wysp Andamańskich. Obecnie na Camorcie znajdowało się 200 przestępców, strzeżonych przez oddział piechoty krajowej złożony z 30 ludzi, którym do pomocy daną była takaż liczba policyantów krajowców, również z plemienia Sikhsów, gdy nagle wybuchnęła kłótnia między policyą a żołnierzami, których sierżant, havildar, został oskarżony przez naczelnika policyi o kradzież orzechów kokosowych i nieuszanowanie władzy. Kommendant skazał havildara na sześciogodzinny areszt w koszarach, na co ten odpowiedział mu strzałem—śmiertelnym! Nieszczęśliwy wyzionął ducha na miejscu i ledwie zdążył, konając już, uścisnąć rękę młodej swej żony, także Duńki, jak on, która zdążyła jeszcze przybiedz do niego, a którą śmierć męża zostawiała samą jedną, niemająca dla pomocy o 300 mil morza żadnej istoty europejskiego pochodzenia. Młoda zupełnie kobieta nie straciła odwagi; tłumiąc łzy, kazała natychmiast trupa mężowskiego przenieść do swego domu, a sama obejmując władzę, wydała policyi i żołnierzom rozkazy, mające na celu bezpieczeństwo wyspy i dozór więźniów, którzy nie byli bynajmniej zamknięci w więzieniu. Następnie, i to w tejsamej chwili, dwóch Indyan ze służby swej przybocznej wysłała na szalupie kommendanta do Wysp Andamańskich, do najbliższego miejsca pobytu władz angielskich, zdając sprawę z wypadku i żądając posiłków. Czuwała noc całą, pochowała ciało męża w ogrodzie, rano objechała konno całą wyspę, wydała nowe rozkazy i tak przebywszy siedm dni i siedm nocy, wśród których ani razu nie położyła się w łóżko, doczekała się nareszcie przybycia angielskiego officera z nowym oddziałem wojska i z duchownym dla poświęcenia mogiły zabitego. W tej chwili dopiero, gdy pomoc tu nadeszła, nieszczęśliwa wdowa padła bez przytomności. Gdy przecież zdołała znowu zebrać siły, nie chciała korzystać z gotowości władz angielskich odesłania jej do Kalkuty i prosiła tylko, aby jej dano małe pomieszkanko w pobliżu jej dawnego domu, a teraz już rezydencyi innego kommendanta, gdzie pozostać pragnie aż do ukończenia naukowej pracy utraconego małżonka: słownika Języka Nikoborskiego, praca ta na szczęście, jest już blizką końca. Wielkorządca Kalkuty przedstawił bohaterską kobietę do orderu indyjskiego *Gwiazdy*, który królowa Wiktorya przyzna jej niewątpliwie.

— **Córki John Bull'a**, oto tytuł książki, wyszłej temi dniami w Paryżu, jako dalszy ciąg znanej, a wybornej przez swój humor i spostrzegawczość książki Irlandczyka, Maxa O'Reel: „John Bull i jego wyspa." Oba te dziełka są pisane po francuzku, ale oba zostały natychmiast przetłómaczone na język angielski.

— **Fryderyk Mistral**, sławny prowensalski poeta, otrzymał od wielbicieli swych francuzkich wspaniałe album autografów, między któremi zapisały się pióra wszystkich znakomitszych pisarzów francuzkich. Ma się tam znajdować pyszny wiersz Wiktora Hugo, i gorąco przez Jules Simona zapisana kartka, będąca perafrazą wiersza „Amour sacré de la patrie." Paweł Bert powtórzył sławne słowa Henryka Martin: „Nie mięknijmy."

1sza SZKOŁA KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek w roku bieżącym rozpoczętym został w d. 15 Października r. b.;—zapisywać się można w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12 do 1 z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w szkole Krakowskie-Przedmieście Nr 40, mieszkania 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz I-szy tomu II-go powieści pod tyt.: **Dwie.**

TREŚĆ. Emancypacya kobiet polskich w XV i XVI wieku, przez Edwarda Lubowskiego.—Sprzeczka małżeńska, (poezya), przez Kalinę.—Kształcenie uczucia w wychowaniu, przez Maryą Ilnicką. — Pierwsza nowella, (dokończenie), przez J. Zacharyasiewicza. — Bruxella, (Wspomnienia z podróży). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera.— Zagroda de la Caridad, (dokończenie), Epizod z wojny francuzko-hiszpańskiej 1808 r., przez Henryka Rodriguez de Salis. — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: pierwszy arkusz tomu II-go powieści p. t.: Dwie, przez M. Georgianę Craik. — Przegląd mód. — 40 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem.—Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 10 Октября 1884 года.